

Przed dwudziestu laty

Hitler nienawidził Warszawy jak bodaj żadnego z wrogich mu miast. Za to, czym była dla Polaków. Jeszcze bardziej za to, czym stała się dla niego. Miastem nieujarzmionym. Stąd też między innymi — już w pierwszych miesiącach okupacji Hitler akceptował projekt długofalowego uśmiercenia półtoramilionowego miasta i zredukowania go do stutysięcznej enklawy niemieckich kolonizatorów. Wreszcie po pięcioletnich nieudanych próbach pokonania miasta, złamania jego oporu i ducha walki, korzystając z pretekstu powstania, wydał katyński rozkaz natychmiastowego i całkowitego już zniszczenia. Uczynienia jej „na wzór Kartaginy jedynie geograficznym pojęciem”.

Ale nawet wówczas, owej jesieni 1944 roku, kiedy to oddziały saperskie niszczyły w wyludnionej Warszawie systematycznie dom za domem, ulicę po ulicy, Hitler wciąż trwał w kręgu nienawistnego moresu przed tym miastem. Podczas rozmów ze swymi generałami, konstruując plany odparcia przyszłej strategicznej ofensywy Armii Radzieckiej znad Wisły w kierunku Berlina — przypisywał temu „geograficznemu pojęciu” znaczenie „klucza do Berlina” i wartość „jednej z najważniejszych twierdz środkowej Europy”. Domagał się utrzymania jej ruin „za wszelką cenę”.

Rozprawa z Warszawą miała ugodzić nie tylko jej mieszkańców. Miała także złać antyokupacyjny i antyfaszystowski opór całego polskiego narodu.

Nie przypadkowo jesienią 1944 roku gauleiter Warthegau Arthur Greiser — nie mając już złudzeń co do fiaska polityki zniewolenia Wielkopolan pogrózkami skierowanymi m. in. podczas sławnego przemówienia do robotników Zakładów „Cegielskiego”: „Kto nie z nami, ten przeciw nam, kto zaś przeciwko nam, tego zniszczymy” — próbował teraz osiągnąć to samo, stawiając znak równania pomiędzy Warszawą a Polską.

„Warszawa — oświadczył spędzonej „delegacji” Polaków — była symbolem, stała się symbolem przed wami. Była to symbol waszego państwa i waszej narodowości. Utrudniając wam długo rozsądne pogodzenie się z wyrokiem historii. Wracam jednak właśnie z tej Warszawy

i mogę wam oświadczyć, że już nie istnieje. Pozostaje więc wam tylko jedno: pracować dla dobra Rzeczy...”

W tym samym czasie trwały już za Wisłą przygotowania do zaczepnej operacji, mającej przynieść w styczniu 1945 roku wyzwolenie ziemom polskim aż po Odrę. Również Warszawie.

Dla rozgromienia półmilionowej grupy Armii „A” Wehrmachtu, osadzonej na umocnieniach nad Wisłą, naczelné dowództwo radzieckie przeznaczyło siły dwóch Frontów: 1 Białoruskiego

Maciej Olszewski

WARSZAWA 17 stycznia godzina 14.00

i 1 Ukraińskiego. Ogółem 20 armii ogólnowojskowych, 4 pancerne, 2 powietrzne oraz 5 samodzielnych korpusów pancernych, 1 zmechanizowany, 3 korpusy kawalerii. Wśród tych dwudziestu armii ogólnowojskowych była także 1 Armia Ludowego Wojska Polskiego mająca działać w ramach 1 Frontu Białoruskiego. Jej to właśnie, już w pierwszej fazie planowania operacji warszawsko-poznańskiej, dowództwo radzieckie wyznaczyło zadanie i pozostawiło zaszczyt bezpośredniego wyzwolenia stolicy Polski. Natomiast radzieckie armie Frontu miały swymi działaniami przygotować i zabezpieczyć wyzwolenie działo Polaków. Polskich towarzyszy broni spod Lenino i Darnicy. Znad Bugu i spod Puław. Spod Studzianek i z Pragi...

Rano 12 stycznia 1945 roku rozpoczynają działania ofensywne wojska 1 Frontu Ukraińskiego. 14 stycznia — także zgrupowania uderzeniowe 1 Frontu Białoruskiego, przygotowane do zadania głównych ciosów w system oporu niemieckiego z przyczółków magnuszewskiego i puławskiego. Następnego dnia poprzez wyłom wybiły już we froncie niemieckim pod Warką, rusza do sierpowego zagonu ku północnemu zachodowi legendarna już 2 gwardyjska armia pancerna generała Bogdanowa. W ślad za czołgistami — jednostki 5 armii uderzenio-

wej. Armie radzieckie mają między innymi swym manewrem po Sochaczew, grożącym oskrzydleniem zgrupowaniu warszawskiemu Niemców, zmusić ich do jak najszybszego odwrotu z rejonu Warszawy. Jednocześnie od północy — spod Modlina i od południa — znad ujścia Pilicy, Niemcom mającym utrzymywać ruiny Warszawy „za wszelką cenę” grożą dodatkowo kleszczami okrężnymi radzieckie armie ogólnowojskowe — 47 oraz 61.

16 stycznia kiedy „bogdanowcy” docierają pod Sochaczew, odwrot niemieckiego 47 Korpusu Pancernego z rejonu Warszawy rozpoczęły w tajemnicy przed Hitlerem, przybiera charakter panicznej ucieczki. Tegoż dnia wykorzystując sukcesy radzieckich sąsiadów, przechodzi do natarcia 1 Armia Polska. Działając w pasie od Jabłonny do Góry Kalwarii, przystępuje do opanowania rejonu bezpośredniego przylegającego do Warszawy i wyzwolenia terenu stolicy. Wieczorem forsuje Wisłę pod Łomiankami, by podjąć bój o Żoliborz 2 dywizja piechoty, nosząca imię wielkopolsko-warszawskiego szewca, Jana Kilińskiego. W nocy — pod Górą Kalwarią — także główne siły armii. O świcie wdiera się poprzez rzekę od strony Pragi i jako pierwsza dociera do Śródmieścia 6 dywizja piechoty. 17 stycznia o godzinie 14.00 dowódca 1 armii generał Stanisław Popławski może złożyć meldunek rządowi polskiemu oraz dowódcy 1 Frontu Białoruskiego, że stolica Polski — Warszawa — jest wolna.

Mimo woli nasuwają się porównania. Nie było obojętne dla francuskich żołnierzy de Gaulle’a, czy im to właśnie w sierpniu 1944 roku, silniejsi i decydujący o losach całej kampanii alianci, pozwolą na satysfakcjonujący akt ostatecznego wyzwolenia stolicy Francji. Jak wiadomo — Amerykanie starali się jak tylko mogli, by nie francuska 1 dywizja pancerna była pierwsza w Paryżu.

Nie było obojętne dla Polaków komu przypadnie w udziale oczyszczenie z najeźdźców Warszawy. Próbuje ją z jakichś tam „racji” twierdzić coś innego, niech przypomną sobie własną gorycz z powodu notorycznego przemilczania przez Anglików udziału Polaków w Bitwie o Anglię, czy też polskiej flagi nad Monte Cassino.

Prawa Polaków do aktu wyzwolenia Warszawy — wciąż żywego wbrew wysiłkom Hitlera i nadziejom Greisera, symbolu naszego państwa i narodowości — zostały przez naszych sojuszników radzieckich uszanowane. Zabezpieczone w sposób godny upamiętnienia. Podobnie też upamiętnić trzeba nienawiść hitlerowców do Warszawy. Dobrze to świadczy o naszej stolicy.

klady, rozparcelowano też działalność stowarzyszeń technicznych, współdziałanie w życiu kulturalnym, społecznym i politycznym. Popsuło się nawet w... ogródkach działkowych. Wzorowo przebiega jedynie współpraca w dziedzinie ekonomiczno-produkcyjnej.

Po listopadowym posiedzeniu kierownictwa „Łożysk” i „Pometu”, 11 grudnia ubr. podpisano aneks, załącznik do starego „Aktu porozumienia międzywzajemnego”. W rezultacie trzyletniej działalności treść tego załącznika mieści się już tylko na kilku stronach maszynopisu. Uroczyste akty tkwią teraz jak dwa bliźniaki: w tekturowej teczce „Pometu” i w plastikowej — „Łożysk Tocznych”.

Czy rzeczywiście są to kopie — bliźniaki? Wbrew pozorom, akty te nie mówią o obu partnerach porozumienia tym samym językiem. Założce „Pometu” mówią o jej odpowiedzialnej roli opiekuna i doradcy, jakim zakład ten był od początku i właściwie pozostawał dotychczas. Ludziom z „Łożysk” natomiast, tej rzekomo posażnej pannie, kopia aktu porozumienia ciągle wydaje się świecić w oczy „pometowska” pomoc i rolą dobrego wujaszka, przy której Fabryka występuje tylko w charakterze potrzebującej ubogiej krewniej, bez nadziei na możliwość rewanżu.

„Rurociąg przyjaźni” okazał się więc trochę jednokierunkowy w działaniu. W obliczu oczywistych korzyści ekonomicznych i pro-

Dokończenie na str. 2

tygodnia

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

RODĄTEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 170

17. I. 65.

Rok V

Piotr Życki

Urzędnik istota nie- doceniana

Chciałem rzecz rozpocząć źródłowo — co kiedy sławetna „Wielka Encyklopedia” sięgnęła dopiero literatury I, do U jeszcze mamy (ściśle: nie my, lecz szanowny wydawca) parę lat czasu. Przyjdzie nam zatem poprzestać na „Słowniku wyrazów bliskoznacznych”, który słowo „urzędnik” czyni synonimem określenia „pracownik”.

Nie jestem językoznawcą, lecz gotów byłbym kruszyć... pióra o to, czy wymienione rzeczowniki można uznać za jednoznaczne lub chociażby bliskoznaczne. Urzędnik na pewno jest pracownikiem, co więcej — na pewno umysłowym; jest więc słowo „urzędnik” określeniem wyrażnie precyzyjniejszym od ogólnikowego „pracownik”.

Kim zatem jest urzędnik? Na pytanie to nierównie łatwiej było odpowiedzieć przed, powiedzmy, trzydziestu laty. Z biegiem czasu, w miarę rozwoju życia gospodarczego i społecznego, w miarę postępujących przemian

Z zapisków zrzędy

ustrojowych w naszym kraju — dawny, „klasyczny” wizerunek urzędnika tracił ostre kontury. U progu trzeciego ludowego dziesięciolecia mamy w Polsce nie-małą, bardzo zróżnicowaną rzeszę ludzi, spełniających funkcje urzędnicze.

Urzędnikami są bowiem nie tylko ludzie, zatrudnieni w administracji państwowej (a więc w tak zwanym aparacie rad narodowych), lecz także liczni pracownicy umysłowi administracji gospodarczej przedsiębiorstw rozmaitego typu: przemysłowych, handlowych, usługowych, komunalnych, bankowych. Zastanawiające jest przy tym, iż wszyscy oni, a w każdym razie znaczny ich odłam, wymijająco określają, gdy powstaje po temu konieczność, charakter swego zajęcia. Odnosi się wrażenie, graniczące z pewnością, iż formułę „urzędnik” skłonni są niemal utożsamiać z uwielbioną profesją.

Na pewno zawód (tak, zawód) urzędnika, w wyniku rewolucji technicznej i zmian społecznych ostatniego ćwierćwiecza, został zepchnięty na listę atrakcyjności na dalsze miejsce. Przyczyniła się do tego polityka płacowa lat minionych, a także — co tu ukrywać — uproszczona, czasem wulgarna propaganda, widząca w urzędniku upersonifikowanego biurokrata, usiłującego — en masse — przechrzcić na „urzędasa”.

I wprawdzie od dłuższego już czasu łamy „Szpilek”, prasy naszej w ogóle, nie „zdbią” serie chmurnych postaci w zaręczakach, a mało taktowne przekraczanie określenia „urzędnik” wychodzi z mody — ludzie, spełniający ten trudny, jak wiele innych, i jak wiele innych potrzebny zawód, nadal z odcieniem niechęci nazywają swą profesję po imieniu.

Można ich rozumieć, ale chyba trzeba też energiczniej kruszyć resztki upiora, który deprecjonował duży, ofiarny wkład pracy tysięcy urzędników w dzieło odnowy życia w Polsce.

Bowiem także w naszych zmierzających warunkach ustrojowych nie sposób wyobrazić sobie —

Dokończenie na str. 2

Zbiłut Sęk

Poznańskie próby współdziałania

Choć Bielsko nadało imię tej inicjatywie, rozwijając skutecznie wielostronne współdziałanie różnorodnych przedsiębiorstw w terenie, mamy dowód, że na podobną myśl wpadli wcześniej inni, w Poznaniu. Ani w Pomecie, ani w Łożyskach nie są jednak za tym, żeby dobijać się autorstwa. Są na tyle skromni by uznać, że Bielsko potraktowało sprawę szerzej, bardziej zasadniczo, więc i skuteczniej. Przyznają przy tym, że początek po znańskiej inicjatywie dali „odgórnie” projektanci przyszłej Fabryki Łożysk Tocznych. Bowiem już w stadium projektu budowy postanowiono wykorzystać gaz czadnicowy „Pometu” dla potrzeb nowej fabryki i w związku z tym połączyć oba zakłady specjalnym gazociągiem.

W „Łożyskach” nazywają go teraz... „rurociągiem przyjaźni”. W żarcie tym zawarta jest spora doza sympatii i wzajemnego uznania załóg, choć projektanci ożenili je na stary sposób: we wczesnym wieku i właściwie bez ich własnej woli. Ta osobliwa młoda para znalazła rychno wspólny język i polubiła się nawet. Ale potem przyszły pierwsze rozczarowania.

Proponowany „Łożyskom” w dokumentacji mariaż z „Pometem”,

nasuwał mimowolnie możliwość innej jeszcze współpracy. Oba zakładom starczyło dobrej woli, nie trzeba też było uciekać się do wyższej matematyki, by dojść do wniosku, że współpraca taka będzie korzystna. Związczą dla budującej się Fabryki Łożysk: jeszcze zanim rurociągiem przekazano gaz z Pometu, z tego samego kierunku płynęła nieodzowna pomoc, wsparcie i rady.

Ci z „Pometu” nie przyznają się, na co liczyli. W oficjalnej skromności przebiegają coś o obowiązku niesienia pomocy, ale chyba kalkułowali trochę, że także im coś „skapnie” z inwestycyjnego posagu. Tak powstał projekt, obelczony 14 października 1961 w uroczystą szatę „Aktu porozumienia międzywzajemnego o współpracy między Zakładami Metalurgicznymi „Pomet” a Poznańską Fabryką Łożysk Tocznych”. W motywacji porozumienia mówiło się, że ma ono na celu wykorzystanie obustronnego potencjału technicznego, gospodarczego i społeczno-kulturalnego oraz polepszenie warunków pracy i odpoczynku obu załóg.

Minęły trzy lata. Rozpisywano się w tym czasie o bielskim eksper-

mentcie, było II Plenum KC partii, które spory fragment obrad poświęciło ocenie rezultatów gospodarskiej inicjatywy Ślązaków.

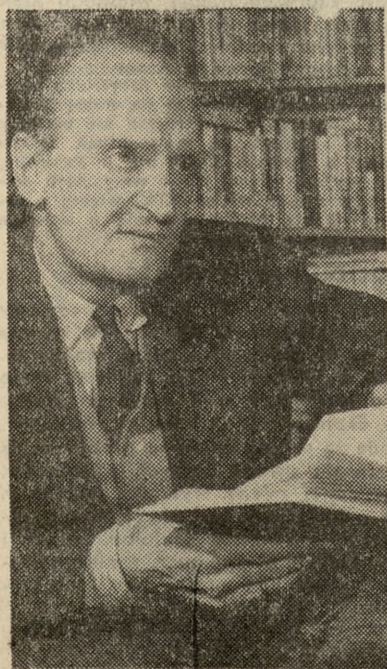
W ciągu trzech lat „Pomet” dostarczał gaz do Fabryki Łożysk, służył techniczną pomocą i radą, wziął na siebie szkolenie kadr „Łożysk”, udostępnił przyszłej fabryce swą bibliotekę, klub, ośrodek zdrowia, żłobek i stołówkę, a także własną centralę telefoniczną. Była to natchniona pomoc „od zaraz”. Fabryka Łożysk z kolei, w miarę postępu budowy, rozluźniała swoje liczne więzy z „Pometem”: dorobiła się własnej centrali telefonicznej, otrzymała własną świetlicę i bibliotekę. Przejęła też szkolenie swoich kadr, rezygnując z pomieszczeń szkolnych i warsztatowych „Pometu”.

Współdziałanie w blokowym budownictwie mieszkalnym pozostało formalnością, bo każdy zakład budował gdzie indziej. Zgodnie z porozumieniem, „Łożyska” rozpoczęły za gospodarowanie wspólnych ogródków działkowych, ale wkrótce zabrakło na to funduszy. Z tej samej przyczyny ani „Pomet” nie zbudował wspólnej stołówki, ani Fabryka Łożysk — ośrodka zdrowia. Na papierze pozostała także budowa strażnicy przeciwpożarowej. W praktyce spaliło na panewce wiele wspólnych inicjatyw: obumarła szkoła aktywu, rozdzielenie koło Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego na oba za-

Co dzieli, co łączy?

Poznańscy

pisarze



Był w Poznaniu i radnym WRN i przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Kultury i Prezesem ZO ZLP; jest członkiem prezydium WTK. Przeprowadził w 1947 roku przyjechał jako kierownik Wydziału Ekonomiki i Załadnienia przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Zachodniego. No, a poza tym napisał dwadzieścia dwie książki! Dodajmy: często wznawiane i to w wysokich nakładach. Za całą tę swoją, nieobojętną Poznaniowi, działalność otrzymał: Złoty Krzyż Zasługi, Medal Odrodzenia Polski oraz kilka odznak: 1000-lecia, Honorowa m. Poznania, „Zasłużonego dla Warmii i Mazur”, „Zasłużonego dla woj. zielonogórskiego” i „Zasłużonego Działacza TRZZ”. Zaszczepną formą uznania dla twórczości Paukszy są nagrody literackie: w 1954 — roku nagroda literacka; w 1957 — Ziemi Lubuskiej, w 1961 — Wielkopolski, a w 1964 — nagroda „Nadodrza”.

— Zarówno w pańskich książkach, jak i w działalności społecznej widać szczególnie zainteresowanie problematyką społeczno-polityczną i obyczajową współczesnych ludzi.

Czy tak było od początku Pana kariery literackiej?

— Wydaje mi się, że trafiła pani w sedno problemu. Jakaś wewnętrzna potrzeba infiltracji w społeczeństwo wiąże się z początkami mojej pracy pisarskiej, a także publicystycznej. Poczynając od młodzieńczych prób w Wilnie, skąd pochodzę. Problematyka społeczno-polityczna już w latach przedwojennych była głównym motorem i siłą napędową moich wypowiedzi pisarskich. Stykając się z palącymi, drażliwymi często problemami, domagającymi się natychmiastowej interwencji, zacząłem wtedy przeżywać pierwsze rozterki, związane z dysharmonią tęsknot do wypowiedzi artystycznej przez obraz, a racją wypowiedzi publicystycznej, dającej szansę zabierania głosu z dnia na dzień. Dlatego początkowo, również w okresie okupacji w pismach podziemnych, a także w pierwszych latach powojennych, tęsknoty artystyczne ustępowały u mnie, choć z wielkim wewnętrznym przymusem, miejsca publicystyce. Z czasem zeszła ona, bo zejść musiała, na dalszy plan: pozostał jednak w pracy literackiej krąg tamtych zainteresowań.

I one chyba rzutują na całe moje pisarstwo.

— Co wpłynęło na pańskie szczególne zainteresowanie ziemiami zachodnimi?

— Często pytają mnie o to czytelnicy. To może na pozór budzić zdziwienie. Ale geneza tych moich kontaktów jest prosta. Była to próba stworzenia jakiejś „własnej” historiozofii procesu kształtowania się Polski powojennej. Tymi ziemiami — zwłaszcza byłymi Prusami Wschodnimi — interesowałem się już zresztą przed wojną, studiując wiele materiałów, dotyczących ich historii. Pamiętam też swój udział w demonstracji akademickiej w Wilnie, zorganizowanej na wieść o nowych represjach wobec Polaków na Opolszczyźnie. W 1938 roku czyniłem nawet starania o wyjazd na teren Prus Wschodnich, ale ambasada hitlerowska odmówiła mi wizy. To są te dawne powiązania. Po wojnie doszły dalsze osobiste motywy. Dominujące stało się w moich dążeniach pragnienie dopomożenia osadnikom tych ziem w trudnym i skomplikowanym procesie aklimatyzacji.

Dokończenie na str. 2

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Urzędnik istota nie- doceniana

Dokończenie ze str. 1

dzisiaj i na przyszłość — normalnego toku życia bez armii planistów, referentów, sekretarek, inspektorów, zaopatrzeniowców, pracowników działów inwestycji itd., itp.

Ludzie ci w ogromnej większości podjęli pracę w administracji po wojnie, są wyłącznie związani z naszymi, socjalistycznymi formami życia, są naszymi urzędnikami. Są urzędnikami, rzecz można by, nowego pokroju: w przeciwieństwie do swych starszych kolegów, których uprawnienia w dawnej administracji były na ogół nikome — mają niejednokrotnie wpływ na bieg spraw znacznej rangi, decydują o istotnych dla społeczeństwa, czy grupy ludzi, sprawach. Są wreszcie nasi urzędnicy w niemałej mierze zaangażowani w przeróżne prace i przedsięwzięcia społeczne, bardzo wielu działa aktywnie w rozmaitego typu organizacjach.

Czy nie mamy zatem urzędników kieszonkowych? Nie powazyłbym się tego dowodzić. Mamy takich. Ale w każdym właściwie zawodzie można znaleźć osoby, nie przynoszące środowisku chwały; urzędnicy nie są tu chyba wyjątkiem in minus. A że nie zawsze i nie wszyscy właściwie załatwiają sprawy? Ferując surowe osady, nie zapominajmy i o tym, że nieraz po prostu urzędnicy posługują się, hmm... nie najdoskonalszymi zarządzeniami, nieraz — nie przez nich ustalony — schemat instytucji jest swoisty, a wyposażenie biur — archaiczne.

Myślę, że tych kilka uwag należy było urzędnikom. Zwłaszcza tym z urzędów rad narodowych. Tych rad narodowych, które wkrótce kończą kadencję.

PIOTR ŻYCKI

*) Pod redakcją dr. St. Skorupki.

Dokończenie ze str. 1

zacji. W ten sposób pomagałem też samemu sobie. Zaraz po wojnie zaangażowałem się bardzo mocno w działalność Polskiego Związku Zachodniego. Z jego ramienia „urzędowałem” na Śląsku, potem nominalnie w Poznaniu, a praktycznie na całym Nadodrzu i Północy. W pierwszym okresie te kontakty znajdowały odbicie pisarskie przede wszystkim w publicystyce: byłem wicedyrektorem „Polski Zachodniej” — tygodnika, ukazującego się w Poznaniu, opracowywałem liczne broszury, organizowałem Zjazd Łużycko-znamowcy naukowców. Przez całe miesiące przebywałem w terenie, zdobywając olbrzymią porcję doświadczeń w prawdziwej szkole życia. Później te sprawy zaczęły domagać się ukazania ich poprzez kształt literacki. Pełniejszym owocem tych, tłumionych początkowo, tęsknot artystycznych jest pierwsza powojenna powieść „Trud ziemi nowej” — właśnie o Mazurach. Wró-

cilem w niej do swych zainteresowań, dotyczących procesu kształtowania społeczeństwa oraz przemian w psychice i osobowości narodowej. Mam dla tej książki szczególnie sentyment, zdając sobie zresztą sprawę i ze słabszych jej stron, może dlatego, że pisałem tam o sprawach, które mnie szczególnie emocjonowały, z którymi wiązało się i niejedno osobiste przeżycie. Wiem, że w pisarstwie nie można być chłodnym i obojętnym patrząc z dystansu. Trzeba coś albo bardzo serdecznie kochać, albo równie głęboko nienawidzić — wtedy istnieje szansa stworzenia utworu o trwałych walorach artystycznych. To odczucie potrzeby wewnętrznej pasji w pisarstwie stało się od tamtej książki jakąś podstawową cechą całej mojej twórczości.

— Dziś pisze Pan książki i współczesne i historyczne i młodzieżowe. Co Pana najbardziej „wciąga”?

— Interesuje mnie przede wszystkim człowiek i jako indywidualność i jako zbiorowość — zbiorowość polska. Zajmowanie się historią nie jest nigdy ucieczką od rzeczywistości, lecz pragnieniem jej dopełnienia. Stąd moje utwory historyczne. A współczesność? Wydaje mi się, że wiele spraw leży ciągle odłogiem w naszej literaturze. Wokół niektórych wytworzyły się sztuczne mity o „tabu” i niemożności ich poruszania. Próba przeciwstawienia się niektórym z tych mitów podjąłem w swej ostatniej powieści pt. „Wrastanie”.

— A jakie będą następne?

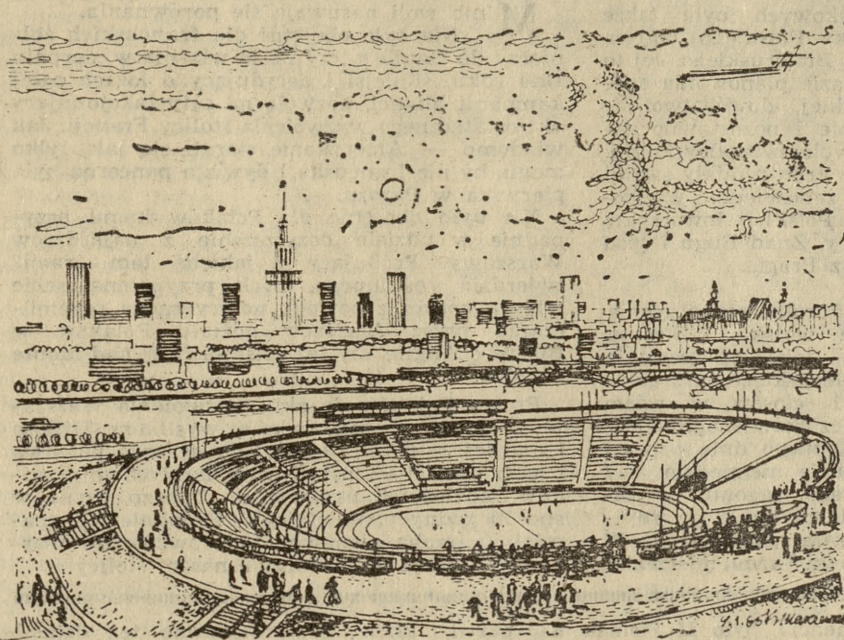
— W najbliższych dniach wyjdzie nakładem Wydawnictwa „Śląsk” tom opowiadań pt. „Spod szczęśliwej gwiazdy”. Dla Wydawnictwa Poznańskiego kończę powieść pod roboczym tytułem: „Przejaśnia się niebo”. Próbuję tu — mówiąc w największym skrócie — przedstawić

dokonującą się na naszych oczach, zmianę typu psychicznego Polaka, który to problem pasjonuje mnie nie od dziś. Chcę też powrócić wkrótce do zaawansowanej już pracy nad powieścią dla młodzieży, pisaną dla „Iskier” oraz ukończyć powieść dla MON-u o losach grupy żołnierzy, zasiedlającej wieś nadgraniczną. Interesuje mnie również bardzo powieść, której akcja rozgrywałaby się w środowisku naukowym i artystycznym. Zastrzegam: niekniecznie, choć może poznańskim. Mieszkam tu już 18 lat. Przez ten czas musiały się narodzić pewne wspólnoty. A że się przy tym często buntuję i próbuję walczyć z niektórymi zjawiskami? Cóż — nie kłóci się człowiek nigdy o coś czy kogoś obojętnego i dalekiego.

Rozmawiała:

WANDA CHILA

Warszawa przyszłości



Stadion X-lecia jest miejscem często odwiedzianym przez warszawiaków nawet jeśli nie czekają ich tu emocje sportowe. Można stąd zobaczyć panoramę Warszawy. Nasz rysunek przedstawia panoramę najbliższej przyszłości z dalszą rozbudową ściany wschodniej począwszy od Al. Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej do Starego Miasta.

CAF — inż. K. Marczewski

Poznańskie próby współdziałania

Dokończenie ze str. 1

dukcyjnych, oba zakłady łączą swe nadzieje w dalszym porozumieniu. Do wszystkich bowiem przemówił dobitnie rachunek ekonomiczny. Co innego w pozostałych dziedzinach współpracy. Tutaj duże ambicje założy „Łożysk”, drażnione są niestanie nierówna sytuacja, w której jedna strona daje a oni, tylko biorą. Boda ich też w oczy miliony „Pomocu”.

We wspólnym osiedlu kampingowym w Niechorzu stoi 60 domków „Pomocu” i tylko 8 — PFLT. Nie pomagają tłumaczenia aktywności fabryki, że „Pomet” to zakład o 50-letniej tradycji i doświadczeniu, zakład o dwukrotnie liczniejszej, skonsolidowanej załodze itp. Wszyscy niby wiedzą o tym. Ale pozycja

„krewnego” stała się przyczyną bezwzględnej dążenia załogi „Łożysk” do samodzielnosci, jej obecnej niechęci do korzystania z czyjejkolwiek pomocy.

Ani w „Pomecie”, ani w „Łożyskach” aktywnie chce pochopnie ingerować w drażliwe sprawy. Rozgrzesza się jednak przy tym podkreśleniem istniejących różnic, które dzielą: dwa zjednoczenia, bariery re sortowe, inna technologia, inne zainteresowanie fachowe specjalistów itp. Stąd w aneksie do starego „Aktu porozumiewawczego” znalazły się tylko bezkonfliktowe punkty. Obie strony uzasadniają to potrzebą koncentracji uwagi na najważniejszych zagadnieniach. Można i tak. Ale to tylko program minimalny. Tymczasem rosną rozbudzone ambicje, zwłaszcza wśród załogi Fabryki Łożysk.

Gdyby sprowadzić je z torów separacji, gdyby wskazać najprawdopodobniej kierunek zdrowej rywalizacji i przyjacielskiego rewanżu — znalazłoby się wiele punktów, które łączą obie załogi.

Mieliby nad czym myśleć psycholog z „Łożysk” i socjolog z „Pometu”, jest nad czym radzić w komitetach partyjnych oraz radach związkowych i robotniczych. Trzeba pokonać bariery fałszywych ambicji (przynajmniej: wyrosłych w nierównych obiektywnych warunkach współpracy), trzeba rozbudzić nowe potrzeby współdziałania obu załóg. W tym kierunku poszli właśnie gospodarze Bielska, godząc skutecznie sprzeczne często interesy licznych przedsiębiorstw, podległych kilku resortom i kilkunastu zjednoczeniom. O Bielsku mówi się dzisiaj, że spojrzeli tam szeroko na problem koordynacji; umieli rachować i tłumaczyć, nie bali się barier, nie unikali konfliktowych sytuacji.

ZBILUT SEK

na wytwórcza, w której najważniejszym elementem jest ośmiomilionowa armia pracowników. Praca tych ludzi — i tylko to — tworzy nowe wartości. Część tej nowej wartości otrzymujemy w formie płacy lub innych świadczeń bezpośrednich. Reszta stanowi zysk, którego lwią część w postaci podatku lub wpłaty z zysku, przedsiębiorstwo przekazuje budżetowi państwa. Innych źródeł dochodu niż praca ludzka państwo nie ma i mieć nie może”.

Przedstawiając strukturę dochodów państwa, autor szczegółowo analizuje formy opodatkowania społeczeństwa w posłaci podatku pośredniego, jaki wkalkulowany jest w cenie różnych artykułów: wódki, piwa, wyrobów włókienniczych, tytoniowych, spożywczych, przemysłowych. Kończąc, Szelię stwierdza:

„Na pytanie: „Z czego żyje państwo?”, odpowiedź brzmi: ze świadczeń wszystkich obywateli... Na ogół z tych świadczeń nie zdajemy sobie sprawy. Natomiast o wiele dotkliwiej odczuwamy wszelkie podatki bezpośrednie, posiadające w istocie o wiele mniejszą wagę w budżecie”.

REZERWA POWSZECHNA

Nawiązując do dyskusji ekonomicznych związanych z uchwałą II Plenum KC PZPR Tadeusz Sapociński dochodzi w „Tygodniku Demokratycznym” do wniosku, iż dotychczasowe prace nad programem rozwoju niektórych branż wykazały, że:

„droga przedsięwzięć organizacyjno-technicznych można poważnie zwiększyć zdolności produkcyjne, a nawet je podwoić — i to bez budowy nowych obiektów, a nawet bez zwiększenia zatrudnienia i przy utrzymaniu na tym samym poziomie wskaźników zmianowości. W niektórych branżach efekty

tych wstępnych prac obliczamy już na milionowe sumy. Te korzystne rezultaty skłoniły do (...) decyzji, iż nowe inwestycje mogą być planowane i realizowane dopiero po wyczerpaniu środków organizacyjno-technicznej rekonstrukcji branż i galezi gospodarki narodowej”.

DROGA DO ELASTILU

Stwierdzenia wyżej cytowanego artykułu odnieść można w całej rozciągłości do uwag Barbary Wiśniewskiej pt. „Droga do elastilu” („Życie Gospodarcze”). Mimo ograniczania opłacalnego eksportu na rynku krajowym odczuwamy brak wyrobów z elastilu (np. skarpetek, rajstop). Sprawa wydaje się niezrozumiała, bo surowcami wyściowymi do produkcji tego włókna są wełna, woda i powietrze, których przecież nam nie brak. Nie można jednak — jak się okazuje — zdobyć niezbędnych maszyn do produkcji tegoż włókna. Ich producenci przeżywiają okres wyjątkowej koniunktury i wybierają tych odbiorców, którzy płacą więcej. W tej sytuacji zwiększenie produkcji elastilu będzie w tym roku możliwe tylko w tym przypadku, jeśli zakłady gorzowskie podniosą jakość swojej produkcji. Wymaga to zapowiadanej od dawna wymiany niektórych maszyn oraz pełnego ich wykorzystania.

FILMY W TV

Jan Szelaż w swoim cotygodniowym felietonie „Tak i nie” na łamach „Kultury” zajmuje się filmami w Telewizji.

„Ta dyrekcja największego kina w Polsce, bo kina liczącego miliony widzów — czytamy — znajduje się w sytuacji gorszej niż kierownik pierw-

szego lepszego kina w najbardziej zapadłej dziurze. Ten ma prawo wyboru, może w filmach polskich i zagranicznych przebiegać jak w uległości. Telewizja zaś daje to, na co pozwalają kapitalistyczne prawa, rządzące rynkami zachodnimi, nie i prawa, które sobie uzurpowała nasza Centrala Wynajmu Filmów”.

Za naszą wielką filmową słabość autor uważa nieumiejętność zaprezentowania własnego kraju z serdecznym do niego stosunkiem, z mocnym, wyraźnym, szczerym akcentem patriotycznym. Te umiejętności doskonale posiadli Amerykanie. „Nie mam — pisze Szelaż — przeciwko amerykańskiemu filmom patriotycznym na naszych dużych i małych ekranach, ale w końcu nie możemy doprowadzić do sytuacji, że mały Polak będzie więcej wiedział o Buffalo Billu niż o Janosiku, a o wojnie secesyjnej więcej niż o wszystkich polskich walkach w tymże wieku XIX, więcej o zagadnieniu wyzwolenia Murzynów niż o sprawie zniesienia pańszczyzny w Polsce”.

SOCIOLOGIA W XX-LECIE

Magazyn studencki „Itd” drukuje fragmenty pracy docenta Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu dr. Władysława Markiewicza na temat socjologii w XX-leciu Polski Ludowej. Pracę wydrukowano w całości w 4 numerze „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego”. Autor wskazuje na pewne węzłowe problemy, na których skupia się uwaga naszych socjologów, dokonując wstępnej oceny wyników niektórych badań. Pisz o badaniach nad zjawiskami zachodnimi, badaniach w zakresie socjologii pracy i przemysłu, badaniach o strukturze społeczno-zawodowej, badaniach nad przemianami społecznymi wsi.

LEKTOR



680 + 20 LAT WARSZAWY

Warszawskiemu świętu — 700-leciu nadania praw miejskich i dwudziestej rocznicy wyzwolenia poświęcają wiele uwagi wszystkie czasopisma. Niektóre zamieszczają materiały wyłącznie o słoicy: „Głos Nauczycielski” — o oświacie warszawskiej; „Szpilki” prezentują „700 lat humoru warszawskiego”; „Żołnierz Polski” drukuje wiele ciekawych wspomnień z walk wyzwoleniczych o Warszawę, a ponadto rozpoczyna druk kroniki wyzwolenia ziem zachodnich i północnych.

Z CZEGO ŻYJE PAŃSTWO!

Na to pytanie próbuje odpowiedzieć Zygmunt Szeliga na łamach „Polityki”.

„Wielka Encyklopedia Powszechna podaje — pisze autor — o budżecie państwa tak: „Głównym źródłem dochodów budżetowych są wpłaty przedsiębiorstw socjalistycznych, natomiast podatki płacone przez ludność i podmioty gospodarki nieuspołecznionej mają znaczenie marginesowe”. Analogicznie we wszystkich publikacjach poświęconych budżetowi, bardzo mocno podkreśla się wielkość i znaczenie wpłat gospodarki uspołecznionej, neguje zaś i umniejsza udział społeczeństwa. To jest nieporozumienie. Oczywiście, z formalnego punktu widzenia takie definicje są słuszne. Ale przecież gospodarka to nic innego jak potężna machi-